

Muzeum to portal do dawnej wsi

Wywiad z **Janem Rzeszotarskim**,
Dyrektorem Muzeum Wsi Mazowieckiej w Sierpcu

Rozmowę przeprowadziły: **Małgorzata Harasimowicz i Paulina Zawada**

Małgorzata Harasimowicz (M.H.): Chciałabym zacząć rozmowę od pytania – czy Pan w ogóle ma czas na przechadzki po skansenie?

Jan Rzeszotarski (J.Rz.): Coraz mniej właściwie, ale wciąż staram się co najmniej raz na tydzień znaleźć czas na spacer po całym terenie. Do dworku na krańcu skansenu można przecież dostać się nie tylko pieszo, ale i bryczką. Można objechać cały teren, sprawdzić, co i jak. Bo tego wszystkiego trzeba cały czas doglądać i to nie tylko naocznie. Mój dzień zaczyna się od spotkań, jest kolejka od samego rana. Tu coś do podpisania, tam rozwiązywanie problemów.

M.H.: Zaczynał Pan pracę w Muzeum w latach dziewięćdziesiątych. Jak rozwijało się ono przez ten czas? Co udało się Panu zmienić?

J.Rz.: Wszystko się zmienia, tak jak w kraju się zmieniało, tak samo i u nas. Nie mieliśmy wody na terenie skansenu, czyli pod względem pożarowym tu było ogromne zagrożenie. Teraz to i wodociągi, i sanitariaty... Tego wtedy w ogóle nie było. Stały budynki, po prostu zaczęło się je wyposażać, no i dopro-

wadzać do takiego stanu, żeby ta dana zagroda spełniała wszystkie standardy. Ogródki przyzagrodowe i wnętrza obiektów... Żeby ten turysta, który odwiedza nasze muzeum, czuł się jak 100 lat wcześniej, z końca tego nawet osiemnastego wieku do połowy lat dziewięćdziesiątych poprzedniego wieku. Staraliśmy się stworzyć takie wrażenie jakby odwiedzin pod nieobecność gospodarzy. Gospodarze na chwilę wyszli, a myśmy zajrzeli, by się dowiedzieć, jak to wyglądało dawniej. Ale na ile tak to odbiera odwiedzający? To już jest inna sprawa, czy to się udało – to, co my zamierzaliśmy. No i, tak jak Panie wiedzą, zmieniają się wystawy, tak jak jest rok kalendarzowy, a jednocześnie rok liturgiczny. Czyli tak jak Boże Narodzenie teraz przed nami, no a później Wielkanoc. Rok Polski, czyli Zielone Świątki, Boże Ciało... Wszystkie te uroczystości i kościelne, i cywilne z życia wsi na bieżąco są u nas ekspozowane. Wystawa nie jest cały czas ta sama. My się staramy, żeby wieś żyła. Zwierzęta, ptactwo... Tak, jak ta zagroda była pełna życia, tak staramy się to pokazać. Uprawiamy pola, sami kosimy żyto, sami młócimy i sami kryjemy strzechy na obiektach.

Paulina Zawada (P.Z.): W jaki sposób działalność naukowa Muzeum wpływa na planowanie tego doświadczenia czterech pór roku i odtwarzanie życia dawnej wsi?

J.Rz.: Oczywiście Muzeum robi badania. Zanim oddamy obiekty albo skądś je przeniesiemy, badamy, kto w nich mieszkał. Wiadomo, że obiekt zakupiony jest po prostu goły, nie ma nic, bo właściciele już tam wszystko uporządkowali. Tylko obiekt chcą nam sprzedać lub podarować. I my musimy go wyposażać, nie mając obiektu dokładnie w stanie z epoki. Często robimy wywiady – tak jak Państwo robicie – co tam było, jacy sąsiedzi, gdzie był wieszak, a gdzie urządzenie, jakie meble. I na podstawie wywiadów dopasowujemy eksponaty, jeżeli ich nie mamy z danego obiektu. Zastępujemy ewentualnie na jakiś okres, dopóki nie znajdziemy bardziej adekwatnych. Tak samo z całym otoczeniem. Właściwie to idziemy w takich trzech kierunkach. Oczywiście etnografia, ale jest jeszcze historia pochodzenia tego obiektu, zamieszkałej wsi, jak to życie tam wyglądało. Te obiekty są wszystkie przeniesione z terenu i w zależności od statusu społecznego gospodarzy są zestawione, by pokazać przekrój społeczeństwa. Czyli etnografia, historia, no i przyroda – co rośnie w danym okresie. To, co studenci i studentki, robicie i dzięki wam możemy to ulepszyć, zorganizować tak, jak to dawniej bywało. Mamy też sady, współpracujemy z ośrodkiem skierniewickim [Instytut Sadownictwa i Kwiaciarstwa im. Szczepana Pieniążka, obecnie Instytut Ogrodnictwa - Państwowy Instytut Badawczy – przyp. red.], gdzie zostały dla nas odtworzone stare odmiany drzew. Oni mają bazę danych wszystkich drzew owocowych i krzewów z całej Polski. Na podstawie tego

projektu kiedyś, co był robiony w XIX wieku, bo kiedyś też projektowano – i sady, i parki przydworskie. Na przykład tu, na Mazowszu, było trzech takich projektantów parków przydworskich. Sad przydworski można dziś odtworzyć z wykorzystaniem oryginalnych odmian, które w nim rosły w XIX wieku. To wspaniałe!

M.H.: Są nasze badania, oprócz tego prowadzą Państwo badania we własnym zakresie. Ale w momencie, jak Pan tu przychodził, to w oparciu o jakie badania były robione te pierwsze ekspozycje?

J.Rz.: Część badań była już zrobiona znacznie wcześniej. Mając te obiekty z danych miejscowości, pracownicy jechali i spisywali. Jaka roślinność, z której strony Wisły, czy i jakie warzywa były uprawiane... Jeżeli jechał większy zespół, to osoby zajmowały się różnymi tematami. Jedni przyrodą, inni budownictwem, rękodziełem... Pracownicy jechali do jednej miejscowości, a następnie rozpraszali się i zbierali dane na swoje tematy. A później szukaliśmy odpowiednich kwiatów, roślin, które by pasowały do danej zagrody.

M.H.: Wydaje mi się też ważne, że wśród pracowników były i są osoby stąd, które miały własne wspomnienia z tych okolic.

J.Rz.: Tak, są też tacy – już na emeryturze, ale wciąż pracują tutaj – którzy na podstawie swojego doświadczenia urządzali te ogródki, pamiętając, jaki ogródek miała ich babcia czy mama. Bo tam z pokolenia na pokolenie się dużo nie zmieniało. Zawsze młodzi szli z postępem, ale jeżeli chodzi o drzewostan na przykład, to to było zachowane. Wybudowanie domu, posadzenie drzewa... Teraz to same Panie wiedzą, że wszystko się zmienia. Przychodzi obcy materiał, jak ja to mówię,

czyli te tuje i nowe, inne rzeczy. Kiedyś była jabłoni i drzewa owocowe na podwórku rosły. Dużo pracy przy tym jest, by dało się dziś pokazać, jak ten krajobraz mazowiecki wyglądał.

P.Z.: Czy obserwuje Pan, że osoby młodsze pielęgnują tradycję swoich dziadków i babć lub rodziców? Czy wręcz przeciwnie?

J.Rz.: Tak... Ja Pani powiem, że wszystko zależy od człowieka. Dawniej każdy miał w ogródku warzywa, miał świeże, swoje, wie-dział, co konsumuje. A dzisiaj też na wsi większość idzie do sklepu i kupuje gotowe. Mało kto dzisiaj z tych młodych mieszkających na wsi przy ogródku coś tam uprawia, ponieważ, no, to jest pracochłonne. Pojedzie Pani na wczasy, wraca i już ogródek nie do poznania. A ludzie są teraz wygodni, najlepiej posadzić tuje, które nie wymagają dużego nakładu pracy.

M.H.: Ale na wykopki przyjeżdżają do skansenu.

J.Rz.: Przyjeżdżają, no bo my tu kultywujemy tę tradycję i chcemy, żeby to też społeczeństwo wiedziało, jaka ta praca na wsi była ciężka. Zanim ziemniak trafił do mieszkańców miast i wsi, to tak to właśnie wyglądało, kiedy jeszcze kopano ziemniaki motyką, prawda? Już później wszedł ten przemysł, te konne kopaczki i tak dalej, dzisiaj kombajn to wszystko zbiera i to jest ta praca ułatwiona, ale te początki rzeczywiście można u nas zobaczyć. Niech tam młodzież też i to zobaczy, jak to dawniej wyglądało i jaka to była ciężka praca. Nam też zależy na tym, żeby nie tylko zobaczyli, ale też popróbowali swoich umiejętności. No którzy się nie pochwalą przed

znajomymi, że potrafią kosić kosą - dla nich to jest coś!

M.H.: Tak, osoby, które zagadujemy czasem na naszej uczelni, mówiąc, że prowadzimy takie badania, a które pochodzą z Mazowsza, mówią, że były przynajmniej raz w Skansenie. Czy sądzi Pan, że to jest taka misja Muzeum, żeby te osoby czuły więź z tym miejscem i wracały tu też dla przyjemności, bo jakby... twarda szkoła życia w postaci tych wykopków wydaje się, że by nie przyciągnęła drugi, trzeci raz takiej osoby, a jednak te osoby wracają. Jest to dla nich ważne.

J.Rz.: Tak, myślę, że ten trend się zmienia, że wracamy do zdrowej, naturalnej żywności. I może MacDonald's straci trochę młodych klientów dzięki miejscom takim, jak nasz Skansen. Ludzie zaczynają szukać po prostu produktów regionalnych. I będąc na Mazowszu, szukają tych mazowieckich. Cały okres, przez wszystkie pory roku, poczynawszy od wiosny, czyli od lebiody, tej faćki, mówiąc po polsku, można posmakować produkty dawne. Tutaj obserwuję, jak dzieci czasem myślą owcę z kozą. Brakuje podstawowej wiedzy i naszą rolą jest też uzupełnianie tych braków.

P.Z.: Skąd się wzięło w ogóle u Pana zainteresowanie tradycjami?

J.Rz.: Gdzieś coś takiego w człowieku jest, że niektórych to wciąga, a innych odpycha. Mnie wciągnęło i bardzo mi zależy, żeby turysta tu przyszedł i znalazł się w innym okresie, dawniej, jak tylko przeszedł przez naszą bramę. Jest dużo dzisiaj pomysłów takich, że część gości chciałaby przenocować w takiej dawnej izbie. Może kiedyś będzie to możliwe? Polegałoby to na tym, że jak sobie nie

przyniesiesz już wody czy nie oporządziś innych ważnych spraw, to nie przeżyjesz. [śmiech] No wiadomo, nie aż do tego stopnia... Chcemy przede wszystkim uchronić to dla przyszłych pokoleń, bo to wszystko ucieka. Już myślimy o ekspozycji lat siedemdziesiątych. No bo to niby nie było dawno, ale jak się wszystko zmieniło. Ale tak jak podkreślam – dla mnie jest bardzo ważne, żeby wyedukować, szczególnie tych najmłodszych, że on tutaj przyjdzie, zobaczy i porozmawia. Jak tu się kończy, chociażby ta jeszcze lekcja kaligrafii, oni dostają zdjęcie grupowe. I on to pokaże dziadkom, rodzicom i już jest reklama w domu – cała rodzina potem może do nas przyjść.

[Dyrektor Rzeszotarski pokazuje nam zdjęcie jednej z grup młodzieży, pozującej do wspólnej fotografii po odbytej lekcji kaligrafii]

M.H.: O, też bym takie chciała! Chociaż już się chyba nie zmieści w ławce. Jest nawet liczydło!

J.Rz.: I tam [Dyrektor otwiera dyplom ze zdjęciem i wskazuje na wypisane kursywą potwierdzenie odbycia lekcji] jest właśnie w środku wpisane nazwisko, że skończył tutaj kurs taki a taki. Także to jest pamiątka. Chcemy, żeby było tak, że każdy coś wynosi – również materialne efekty własnej pracy warsztatowej. Pisanki, malowanie na szkle, wyrób palm. Dzieci zabierają swoje dzieła do domu. Także ogromny nacisk kładziemy na edukację. Wiadomo, że wszystko jest ograniczone dostępnością obiektów, porami roku. Ale mamy też na przykład lekcję „W ogródku babci, w ogródku dziadka” czy o ziołolecznictwie. Dzieci dostają zeszyty, ołówki i kredki, zapisują, jakie to drzewo, jaką ma

średnicę. Tak, żeby każdy uczestniczył w tym zadaniu. Lekcje mają kończyć się podsumowaniem, ma z nich płynąć jakaś korzyść. W tych ogródkowych pracach też mogą brać udział. Po to tutaj jesteśmy, żeby to i badać, i później pokazywać, eksponować, no i przekazywać następnym pokoleniom. Żeby można było dotknąć, pokręcić, czy to na żarnach, czy to na innych tradycyjnych urządzeniach.

P.Z.: A jakie tradycje się podtrzymuje u pana w domu? I jaki to ma wpływ na działania animacyjne Muzeum?

J.Rz.: Ja to chyba jestem staroświecki. Boże Narodzenie, Wielkanoc – nie wyobrażam sobie, żeby obchodzić je inaczej niż dawniej. Smaczne potrawy, rodzinne spotkania, rozmowy. Natomiast obserwuję, jak z roku na rok coraz więcej młodych przyjeżdża tu do hotelu na święta. Bo nie oszukujmy się, gospodyni nie ma świąt, bo musi podać, umieć ugotować, prawda i cały czas tylko się napracuje, a tu... Rodzina przychodzi na gotowe, podadzą, zjedzą, porozmawiają i coraz częściej zostają do Nowego Roku, na Sylwestra. To samo na Wielkanoc już tu mamy przygotowane wszystko. Ksiądz przyjeżdża święcić koszyczki, bo to jak tam z 50 jest pokoiów, to co najmniej 50 tych koszyczków. Młodzi uciekają, wolą czasem przyjechać na gotowe, ale też trudno się im dziwić. Ale ja... Kiedyś, za moich pięknych lat, to się czuło, to oczekiwanie i jeszcze to, że pomarańcze mogły nie dotrzeć, bo statek mógł nie dopłynąć, nie było ich na co dzień. Dzisiaj możemy balować na okrągło przez cały rok, także już tak się tych Świąt nie odczuwa, jak kiedyś. Nawet te 50 lat temu. Ale właśnie wracając do Bożego Narodzenia, to te tradycje też się zmie-

niały, na przykład choinka. W naszych obiektach robimy oczywiście ekspozycję bożonarodzeniową – różną dla różnych gospodarstw, które, jak wspominałem, staramy się przedstawić zgodnie ze statusem społecznym gospodarzy. Przecież jak choinka nie była jeszcze tak dostępna, stawiano w izbie odświętne snopki zbóż. Jak nie było miejsca, to przynajmniej jeden najważniejszy był – snopek żyta. A jeżeli było, to z każdego rodzaju snopek stał, a potem nawet jak już weszła choinka, to oprócz tego też jeszcze snopki stawiano, prawda? I pokazujemy, jak wyglądała wieczerza wigilia u biednych, a jak we dworze. I te różnice. Mamy do tego też przygotowany film – taki, że mogą sobie obejrzeć film również obcokrajowcy i zresztą nie tylko, bo nawet panie też na pewno mają inne wyobrażenie, jak ja mówię o Bożym Narodzeniu, prawda? Jak gość tego nie zobaczy, to nie doświadczy. A żeby doświadczyć, to jeszcze wypadałoby, żeby Wigilii zakosztował wprost, przez żołądek – stąd potrawy wigilijne. Podobnie jak jest miodobranie – pokazujemy, jak się podbiera miód, jak go wiruje, czyli cały proces, nie tylko sprzedaż samego miodu. Ludzie mogą posmakować z kawałkiem chleba tego produktu, a później zakupić na naszych kramach. Czyli to, co znam i znamy z tradycji rodzinnych, staramy się udostępnić naszym odwiedzającym.

M.H.: We wstępie do Czterech pór roku pisze Pan o wzbudzaniu wspomnień, jako swego rodzaju misji skansenów: tu możemy te wspomnienia przywoływać i stworzyć dla gości wrażenie zanurzenia się w przeszłości.

J.Rz.: Tak. Cieszy mnie, że mamy więcej odwiedzających osób indywidualnych. Osoby, które przychodzą indywidualnie, wiedzą, po

co przychodzą. Najczęściej przyjeżdżają z osobami starszymi – na przykład przyjeżdża i rodzic, i babcia albo dziadek. I jeszcze są rozmowy – że za naszych czasów to jeszcze pamiętam, jak było tak, a teraz jest tak. Pokolenia rozmawiają ze sobą. Od starszych młodzież dowiaduje się, jak to życie wyglądało. Sami starsi podchodzą do obiektów wystroju z sentymentem. Może oni też mieli tak pomalowaną izbę, prawda? Szczególnie było to widać, jak przenosiliśmy kościół. I mieszkańcy tej miejscowości... po prostu lży im leciały, że się ten obiekt udało uratować. I wspominali – ktoś brał tu ślub, inny był chrzczony, to jest przekazywane kolejnym pokoleniom, że na przykład dziadek w tym kościele ślubował. Inna kobieta, która tu przyjechała, mówiła, że jej mama ślub brała w naszej karczmie, która działała jako urząd stanu cywilnego.

M.H.: To musi rzeczywiście być bardzo wzruszające.

J.Rz.: Tak, wzruszające. Ale nie tylko. Czasem to po prostu ciekawe historie. Na przykład nasza karczma jest z Sochocina. Sochocin leży między Płońskiem a Nasielskiem, tam była największa produkcja guzików w Polsce. I oni przez te guziki byli bogaci, bo to były te guziki, które były robione z muszli z Morza Czarnego, to była cała produkcja seryjna – luksusowa. Później weszły te sztuczne guziki, ale te pierwsze, to właśnie Sochocin z tego słynął.

M.H.: A jakie emocje wzbudzają ogródki, na przykład na wiosnę? Czy też rzeczywiście budzą takie wspomnienia? Czy ludzie wzruszają się na widok klombów i kwitnących kwiatów?

J.Rz.: Tutaj, jak panie same wiedzą, staramy się odtwarzać gospodarstwa biedne i bogate - odpowiadające gospodarzom o różnym statusie społecznym. Każdy jednak starał się, by jego ogródek wyglądał ładnie. Oczywiście zależy, czy miał te środki i czy było go stać na zakup nasion, czy nie. Staramy się odtwarzać je, by wyglądały właśnie tak, jak dawniej, żeby były też i odpowiednio uprawione - każda pora roku ma swój urok, bo wiosną zaczyna to wszystko pączkować - bez, jaśmin, później latem malwy. Ogródki pokazują gospodarza z przeszłości - w zależności od, jak już mówiłem, statusu. Ogródki wszystkim się podobają, bo staramy się rzeczywiście zadbować o ich autentyczność.

M.H.: Pan też ma takie ogródkowe wspomnienia, swoje własne?

J.Rz.: No mam. Tylko kiedyś to było tak, że ten ogródek to był bardziej przy domu. Ale głównie to był sad. Bo ogródek to rodzice, a nas bardziej interesowały drzewka, które dawały owoce i to, kiedy będzie można te owoce zjeść.

M.H.: No tak. [śmiech] Chciałam teraz dopytać o przyszłość. Jak pan widzi rozwój skansenu w kolejnych latach? Wiemy, że krajobraz się zmienia. Czy widzi Pan to miejsce jako taką ostoję dawnych ogródków czy samego planowania krajobrazu, jako pewien wzór?

J.Rz.: Myślę, że jeżeli mówimy o tej części wsi, to tu zostało nam jeszcze kilka obiektów do uzupełnienia. I teraz tylko utrzymanie, dopracowywanie z wykorzystaniem badań - taka roślinność, takie kwiaty, czy takie warzywa. Czyli te ogródki i to, co panie zaobserwowały, zostaje. Natomiast mamy w planach - i myślę, że w jakimś niedługim czasie,

bo już cała dokumentacja jest - budowanie drugiej wsi, to znaczy ulicówki nadrzecznej. Ta wieś, która teraz jest, to wieś przydrożna, a tam planujemy znowu około 30 obiektów dużej architektury, w tym karczmę, plebanie. To jest nasz plan, jeżeli chodzi o dalsze uzupełnienie, pokazania wsi ulicówki nadrzecznej i przysiółka drobnoszlacheckiego w przeszłości. Pokazanie całego Mazowsza w pigułce. Ale oprócz skansenu mamy też ratusz miejski, gdzie są wystawy czasowe, no i oczywiście Muzeum Małego Miasta w Bieżuniu. Jest tam pięć obiektów już wyremontowanych i ekspozycja jest już gotowa. Teraz planujemy pracę nad pałacem Zamoyskich. Działania już ruszyły, teraz są organizowane konkursy na projekt wykonawczy. Tam by było Muzeum Konstytucji i wszystkich ustaw, które można by było przedstawić. Duże zadanie. Jest też rozległy park - czyli roślinność znów będzie musiała zostać zbadana.

M.H.: Czyli i my będziemy potrzebni.

J.Rz.: Oczywiście.

M.H.: Bardzo się cieszymy. My w ogóle bardzo lubimy nasze badania i jesteśmy też ciekawi, w jaki sposób ich wyniki rzeczywiście przekładają się na tworzenie ekspozycji. Czy one są jakoś zestawiane z tymi badaniami samego skansenu?

J.Rz.: Tak, cały czas są uzupełniane, nad tymi badaniami cały czas my też pracujemy. Jeśli niektórych rzeczy w ekspozycji, nie mamy, staramy się je zastąpić, ale jak tylko pozyskamy oryginał - czyli w wypadku ogródków potrzebne są nasiona - to wtedy to podmieniamy. Część nasion jeszcze można pozyskać w terenie, np. malwy. A co do sadów, to jeżeli mamy projekt zagospodarowania sadu, to

jedziemy z nim do Skierniewic i tam odtwarzają dla nas potrzebne odmiany. I później przyjeżdżają i pomagają nam drzewka pielęgnować.

M.H.: I rzeczywiście, jak różne osoby kosztują owoców, to mówią, że smakuje tak, jak dawniej?

J.Rz.: Smakuje. U nas w tym roku to nie za bardzo z tym owocem, ale na ogół my mamy owoce na ekspozycję – tak samo kwiaty. Bo ekspozycja ma wyglądać naturalnie. W niedzielę na przykład – bukiet na stole w dworcu. Ścinamy też żyto i ono idzie na słomę. Dlatego ścinamy wcześniej, kiedy jeszcze nie dojrzała, żeby słoma była sztywna, nie krucha, żeby się nadawała na położenie na dachy, jako budulec.

M.H.: Tak ze słomą mi się skojarzyło... Przed Panem nie było w skansenie zwierząt, prawda?

J.Rz.: To się tak wszystko bierze z takiego przypadku. Bo skąd te zwierzęta przyszły? Jak Juliusz Machulski reżyserował tutaj film „Szwadron” i konie jeździły, biegały zwierzęta, bo takie było zapotrzebowanie filmowe, a jak oni odjechali... to się zrobiło smutno. I wtedy kupiliśmy jednego konia, później drugiego, później kozę i to ożyło. Przez tą pustą wieś, jak przejechał wóz, to zaraz ją ożywił – sam przejazd, nie tylko zarobek z wożenia turystów, ale samo to takie ożywienie, że tu się pasie koza, tam krowa, tu inne zwierzęta... Dzisiaj jesteśmy mądrzejsi i mamy większe doświadczenie, ale początki były, nie ukrywam, trudne.

M.H.: Dwa lata temu widziałam, jak bociany zamieszkały tutaj w jednej stodole.

J.Rz.: Mamy taki problem, że bociany nie chcą się nam zagnieździć. Mamy bociany, ale

te, które są trochę nieporadne. Trzymamy te bociany, które nie odleciały. I one chodzą po naszych zagrodach, na wyznaczonym terenie. I tutaj się zaaklimatyzowały. Ale jak robimy im gniazda... Bocian tu wyczuwa środki chemiczne, którymi kiedyś były konserwowane obiekty, na przykład ksylomit, zapachowo uciążliwy i rakotwórczy. Człowiek wejdzie i nie zwraca uwagi, ale bociany... Bardzo nam zależy, żeby się zagnieździły, ale a razie mamy te z ośrodków rehabilitacyjnych, które oddają zwierzęta, żebyśmy się nimi zaopiekowali. Bociany są zatem u nas, ale do nas nie przyleciały, tylko są na stałe. Jest to też droga inwestycja. Ten bocian żab nie chce, woli kurczaczka albo rybkę.

M.H.: Czyli bociany migrujące są w planach na przyszłość rozwoju muzeum, jak rozumiem. [śmiech]

J.Rz.: Tak, liczymy na to, że do tych naszych przyjdą jakieś z zewnątrz. [śmiech]

P.Z.: Wspominał pan o edukacji. Pan ma wykształcenie pedagogiczne, prawda? Czy zatem ważna jest dla Pana tutaj misja edukacyjna Muzeum?

J.Rz.: Bardzo ważna. Jeśli wyedukuje się młodzież, to ona będzie w przyszłości podchodziła inaczej do tego wszystkiego. I nawet te środki, które będą rozdawane, być może uda się przekazywać bardziej dla kultury. Bo jeżeli ktoś pojedzie do teatru, do opery, operetki, to później jakaś część tej młodzieży będzie kontynuowała takie wyjścia. A jeżeli tego nie będzie, to będzie problem. Więc edukacja jest jednym z ważniejszych elementów, ogromnym zadaniem. Prowadzimy warsztaty – chcemy młodzieży i dzieciom pokazać, jak robić na przykład tradycyjne ozdoby świąteczne, pająki czy łańcuchy. One kiedyś były

robione na choinkę, głównie przez dzieci z matkami. To jest inaczej, jak dziecko potrafi to samo później zrobić. Ale też jak dziecko przyjdzie do muzeum, zobaczy, jak wyglądało kiedyś życie, o ile jego wyobrażenie odpowiada tej zamodelowanej przez nas rzeczywistości, to myśli krytycznie. Można to kształtować już od przedszkola. Starsze osoby – myślę, że ich podejście do pewnych rzeczy się nie zmieni, ale młodzież daje nadzieję. Nam też zależy, żeby to było bardzo merytoryczne, czyli jeżeli coś robimy, to żeby było od podstaw. Jeżeli jest to na przykład kowalstwo, to żeby zobaczyć, czy obejrzeć film, po filmie pokazać jeszcze eksponaty, co to jest miech, co to kowadło. Jak później idą na pokaz do kowala, to mają już jakieś pojęcie. Albo takie lekcje „Od ziarenka do bochenka”. Dzieci najpierw oglądają film – przyjeżdżają w różnych porach roku, pewnych rzeczy nie da się pokazać na żywo. Ale mogą zobaczyć, jak to się siało dawniej zboże, najpierw jaka była orka, później bronowanie, sianie ręczne. Jeżeli jest to w odpowiednim okresie, to mogą wtedy na żywo zobaczyć żyto, pszenicę i porównać, jak wyglądają kłosy. Jak już trafią po tym wszystkim, po żniwach, to wtedy jeszcze mają zboża w snopkach do zobaczenia w stodole, mogą na żarnach pokręcić, porobić mąkę. I mogą zobaczyć, jak to jest na wiatraku. I kończąc takie zadanie, byłoby najlepiej, żeby dzieci mogły wyprodukować jakiś wypiek – na razie nie mamy takich możliwości, ale robimy w ten sposób, żeby w woreczkach każdy wziął na pamiątkę trochę ziaren. Chcemy, żeby to było merytoryczne, że każde zadanie, każda lekcja, żeby miała krótką treść, przedstawiła to, co jest zachowane w danym temacie i żeby dzieci mogły tego dotyczyć,

próbować, uczestniczyć w praktycznych zadaniach. Czy to będzie w lekcji kaligrafii, czy w miodobranii, czy właśnie u kowala. Chciałbym, żeby to była edukacja taka z prawdziwego zdarzenia.

M.H.: 50 lat muzeum minęło, zaraz trzydziestopięciolecie pańskiej pracy i nasze dziesięciolecie badań... Same jubileusze. Ja chciałam zapytać, czy ma Pan jakieś marzenia związane z tym jubileuszem i dalszym rozwojem Skansenu?

J.Rz.: Opowiedziałem o planach na następną wieś. Sporo jeszcze nam brakuje, np. magazynów, które umożliwiłyby bezpieczne przechowywanie zbiorów, wszystkie muzea się z tym borykają. Brakuje nam już parkingów, bo coraz więcej jest zwiedzających. Musimy dzisiaj iść w kierunku, że to, co jest turystycznie potrzebne, musi być w naszym Muzeum dostępne. Cały czas też prowadzimy badania i tu oczywiście wciąż liczymy na Państwa zaangażowanie. Na pewno wszystko nie zostało zrealizowane, co rusz przybywają jakieś ciekawe tematy, które trzeba rozwikłać. Zawsze coś się doczyta w źródłach, znajdzie, coś się zaobserwuje... Myślę, że planowanie, odtworzenie i badanie, całe nasze działanie będzie trwać po prostu w nieskończoność.



Chata w skansenie w Sierpcu (fot. Aleksandra Wierucka)



Dworek szlachecki z końca XIX wieku na terenie skansenu (fot. Aleksandra Wierucka)